

Jerzy Kmita

Kilka spostrzeżeń co do roli filozofii marksistowskiej w życiu intelektualnym u nas w latach 1955–1980

Pytanie profesora Hołówki o rolę filozofii marksistowskiej w Polsce, które już dawno powinniśmy sobie postawić (także w odniesieniu do wielu innych dziedzin powojennej myśli polskiej) ograniczam do ćwierćwiecza 1955–1980 z licznych powodów; dwa z nich przedstawię na wstępie.

Po pierwsze, czas najwyższy choć trochę przeszkodzić „rewolucjonistom moralnym” wypowiadającym się donośnie o sprawach, których zupełnie nie rozumieją, bo ich albo nigdy nie przemyśleli, albo byli – gdy sprawy te rozgrywały się – w wieku wypraw złodziejskich na księżyc. Jestem od wspomnianych ludzi o tyle starszy, że uczestniczyłem czynnie w biegu wydarzeń intelektualnych od roku 1955.

Po drugie, do roku 1955 filozofia marksistowska odgrywała w Polsce różne role, ale nie stanowiła miejsca dla publicznego życia intelektualnego, a więc w każdym razie dla swobodnej dostatecznie rozmowy publicznej (nie idzie o rozmowy towarzyskie). Kto wie, czy nie najbardziej elementarną przyczyną tego stanu rzeczy (choć jakby niezauważoną) była rosyjsko-niemiecko-rosyjska masakra inteligencji polskiej, zdolnej do postulowanej przeze mnie rozmowy publicznej. Dziwną może nieco trójcłonowość zastosowaną przed chwilą przeze mnie spieszę objaśnić: człon pierwszy wskazuje na wyćpienie na ziemi rosyjskiej najbardziej oczywiście zainteresowanego marksizmem kierownictwa (w tym intelektualnego) KPP; człon drugi – na solidne i systematyczne po niemiecku niszczenie polskiej inteligencji w obozach koncentracyjnych – zwłaszcza inteligencji zamieszkującej obszar Polski przeznaczony na wcielenie do „Reichu”; nasze „działania podziemne” uwieńczone Powstaniem Warszawskim pomijam tu, gdyż jest to temat do dziś hołubiony; trzeci człon wreszcie sygnalizuje – mówiąc skrótowo – Katyń oraz dalszy ciąg tej „walki klasowej”, powojennej, w której brali czynny udział niektórzy nasi rodacy zwerbowani w sposób wykorzystujący proste ich *cwaniactwo*

bądź postawę, która (autentycznie!) dyktowała im reakcję na uprzejmy zwrot „proszę pana” w postaci: „panowie to są w Londynie”.

Jak tedy widzimy, nie miał kto u nas w dziesięcioleciu 1945–1955 dyskutować poważnie o filozofii marksistowskiej z bieżących przyczyn politycznych. Wchodziły również w grę przyczyny kulturowo-historyczne tego stanu rzeczy. Nie byliśmy nigdy – tak jak ci bijący nas na wszystkich niemal polach Niemcy – narodem filozofów. Dyskusja poważna o filozofii, w tym o filozofii marksistowskiej nie mogła się u nas zdarzyć.

Na tym tle powstał interesujący spór pomiędzy Miłoszem a Herbertem. Miłosz mianowicie określił w swej korespondencji z Herbertem Polaków jako „rasę” pozbawioną zdolności twórczych, w szczególności filozoficznych. „Rasa” ta „może tylko uprawiać rolę i logikę matematyczną”¹. Myślę, że Miłosza rozżłościły na rodaków zapatrywania endeckie (bliskie Herbertowi), rozumiem to doskonale, aczkolwiek jednak – sędzę – przesadził w swej wypowiedzi.

I

W rozważanym tu przeze mnie ćwierćwieczu podjęto w naszym kraju między innymi wiele inicjatyw, które zmierzały do wykorzystania w taki sposób zaistniałej wówczas, „dopuszczalnej” możliwości dokonywania różniących się od siebie interpretacji filozofii marksistowskiej, aby wzbogacić ją inspiracjami napływającymi ze współczesnej filozofii zachodniej, także marksistowskiej (Gramsci, Althusser itd.). To bowiem, co nazywano u nas filozofią marksistowską, mając na względzie stalinowską jej kodyfikację, było rozpaczliwie zarchaizowane, akceptowalne jedynie przez Lenina „kucharki rządzące państwem”.

Można podzielić filozofów polskich rozważanego tu ćwierćwiecza, którzy nawiązywali bardziej lub mniej stanowczo do marksizmu, na dwie grupy; określe je nieco dokładniej, ale przedtem chciałbym zastrzec się, że przedstawiciele obydwu grup łączyło ponadto jedno postanowienie wspólne: nie będziemy wywoływali żadnych awantur², które mogą tylko opóźnić realizację naszego dążenia (opóźnić

¹ Z niecierpliwością oczekuję na przygotowywaną przez Andrzeja Franaszka książkę poświęconą relacjom Miłosz–Herbert. Obszerny artykuł zapowiadający ją („Gazeta Wyborcza” 9–10 grudnia 2006 r.), przekonywuje o wnikliwości autora i o tym, że chyba udało mu się trafnie wychwycić szereg historycznych okoliczności kulturowo-politycznych składających się na tło konfliktów współczesnych naszych wieszczów. Dodam przy okazji, iż co się tyczy „logiki matematycznej”, autor *Ocalenia* ma rację w tym, że uprawianie jej wymaga pracowitości i staranności co najmniej takiej, jakiej uprawianie roli, jakkolwiek jej *wielki czas filozoficzny* minął chyba bezpowrotnie. (Doradzałbym jednak filozofom dzisiejszym orientowanie się w kwestiach: czego „chce” logika matematyczna, dlaczego zainteresowała tak licznych myślicieli pierwszej połowy XX wieku, co filozoficznie doniosłego udało się osiągnąć za jej pomocą).

² Idzie o „awantury”, których typ idealny stanowi Powstanie Warszawskie z tak wielkim uwielbieniem celebrowane przez poczcziwych, ale tępych, niestety, rodaków naszych bądź też przez udających owo uwielbienie spryciarzy – dla pozyskania sobie zwolenników wśród poczcziwców.

albo całkiem uniemożliwić). Dążenie to polegało na osiągnięciu czy utrzymaniu za pomocą różnych działań intelektualnych możliwie bliskiego kontaktu z myślą filozoficzną Zachodu.

Otóż jedną ze wspomnianych dwu grup stanowili ci, którzy po prostu chcieli uzyskać poklask „znajdującej się na Zachodzie elity”, uznanie wyrażające się bądź to w dostępie do stypendialnych wyjazdów zagranicznych, bądź to w akceptacji promującej na wyższe stopnie akademickie lub tytuły naukowe, bądź wreszcie – tak jest! – powodzenie w eleganckim towarzystwie. Pan profesor Jacek Hołówka, wzywając do dyskusji na temat: gdzie się podziiali niegdysiejsi marksści? – w połowie przynajmniej znajdzie tutaj odpowiedź na swe pytanie.

Ale drugą grupę naszych filozofów nawiązujących raczej stanowczo do Marksa tworzyli ci, którzy również nie kierowali się „czystym rozumem kucharek Leninowskich”, ale zupełnie serio dostrzegali w Marksie coś, do czego godzi się nawiązywać – wnosząc do jego wywodów pewne, często potężne, uwspółcześniające korektury, lecz pozostając przy tym „czymś”.

Mam tu na myśli „coś” bardzo zróżnicowane. Współczesny filozof amerykański Richard Rorty widział na przykład w Marksie kogoś w rodzaju Dickensa bolejącego nad losem dzieci, które system kapitalistyczny zmusza do ciężkiej pracy, a nawet do dzielenia ze swymi rodzicami cel więziennych, do których rodzice owi dostali się „za długi”. Przyznam się, że zawsze ów Dickensowski punkt widzenia skłaniał mnie ku Marksowi, choć zawahałem się nieco, kiedy przeczytałem w *Krytyce programu gotajskiego* tego filozofa oświadczenie, że nie trzeba protestować przeciw zatrudnieniu w produkcji przemysłowej dzieci, ponieważ zatrudnienie to popędza rozwój społeczno-ekonomiczny do punktu, w którym na mocy praw rozwoju społeczno-gospodarczego musi wyłonić się drogą rewolucji socjalizm (kosztem zniszczonego dzieciństwa malców? – myślałem sobie; Lenin, a zwłaszcza Stalin pokazali, do czego prowadzi taki sposób myślenia). Nie będę tu rozwodzić się nad ideami Marksa, które skłoniły współczesnych filozofów Zachodu, a także i filozofów polskich, do poważnego zastanowienia się nad dziełem tego myśliciela. Spróbuję jeszcze tylko skoncentrować się na kwestii, dlaczego nie zabierają dziś głosu ci właśnie filozofowie, którzy niegdyś znajdowali u Marksa jakieś idee godne kontynuacji. Nawiązywali więc merytorycznie do tych idei.

II

Mówiłem już o zanachronizowaniu się autentycznej filozofii Marksa. Na czym ono polega w swej istocie? Moim zdaniem – na zbyt daleko idącej u tego myśliciela *naturalizacji*, naturalizacji opartej na przesadnym, oświeceniowym, podobnie zresztą jak i u Comte’a, zrównaniu historycznych nauk o człowieku ze zmatematyzowanym przyrodoznawstwem. Natchnieniem Marksa, rzecz jasna nie jedynym,

były sukcesy przyrodoznawstwa, które opiera (opierało się?) na założeniu, że naukowo poznawaną rzeczywistością rządzą nomologiczne prawidłowości dające wyrazić się w postaci funkcji matematycznych. Jeśli – naturalistycznie – przyjąć, że to samo odnosi się do świata ludzkiego, łatwo też przyjąć, iż owe Dickensowskie, biedne dzieci są niezbędne dla przyszłego, nomologicznie wyznaczonego, szczęśliwego kresu rozwoju ludzkości.

Tak chyba miały myśleć *kucharki Leninowskie* (pomijając fakt, że trudno byłoby wytłumaczyć im pojęcie funkcji matematycznej, a zwłaszcza funkcji łączących odpowiednio ze sobą liczbowe miary wielkości rozważanych w fizyce). Lecz to nie owe „kucharki” dokonały rewolucji bolszewickiej; miała ona miejsce w monarchii azjatycko-bizantyjskiej, by jasno pokazać, do jakich nieludzkich potworności doprowadza genialna w niektórych punktach myśl Marksa, gdy podejmie się ją w „niewłaściwej” społeczności. (Skądinąd wiek XX pokazał, że wymienione potworności mogą jeszcze bardziej dobitnie zaistnieć w obrębie kultury zachodniej, w której możliwa jest powszechna faszyzacja społeczeństwa; tu palmę pierwszeństwa trzeba wręczyć Niemcom, nie zaś łacińskim Włochom czy Hiszpanom).

Jestem zdania, że dopiero wiek XX, i to u swego schyłku, pokazał rozumiejącym filozofię miłośnikom jej, że można najgenialniejszych jej przedstawicieli poddać interpretacji skłaniającej do najpotworniejszych w świecie zbrodni. Oto mamy na przykład Platona, Hegla czy Heideggera. Nie twierdzą naiwnie, że wymienilem powyżej trzech najbardziej genialnych myślicieli, wszelako – wróćmy jeszcze na chwilę do Marksa: kto dziś, pozostając przy zdrowych zmysłach, obwiniąłby go za to, co w zamkniętym niedawno wieku rozegrało się w pewnym mocarstwie azjatycko-bizantyjskim? Ci wszyscy moi koledzy, którzy dopiero co przywoływali idee Marksa, postępują jednak tak, jakby właśnie on był winowajcą głównym. Wobec tego powiadają: my – Proszę Państwa – jesteśmy postmodernistami.

* * *

Łaskawy czytelnik słów powyższych mógłby pomyśleć, że za jedyny powód zajmowania się marksizmem, niekiedy nawet nazywania siebie samych marksistami – przez intelektualistów przywoitych w naszym kraju, a może też w innych krajach zwanych w swoim czasie komunistycznymi, uważam powstanie możliwości interpretowania go w sposób przybliżający do współczesnej myśli filozoficznej Zachodu. Nie taki jest mój pogląd; przy całym swym zanachronizowaniu przeważnie już po śmierci wielkiego myśliciela – jego twórcy – marksizm jako filozofia poważnie zainspirował (nie tylko on zresztą) samo sedno filozofii współczesnej. Sedno to można nazwać za Margolisem relatywizmem kulturowym; sam Karol Marks zapewne wolałby termin: „relatywizm historyczny”. Myślę, że najznakomitszy nasz współcześnie filozof, Leszek Kołakowski, zgodziłby się chyba ze mną.

Osobiście sędzę, że z tej właśnie gleby wyrosło jego filozofowanie. Świadczy ono, że gleba owa nadal jest płodna, chociaż tak długo różni durnie, rządzący naszą częścią świata, próbowali (nie jestem pewien, czy działając świadomie) i próbują nawet dziś starannie wysterylizować ją w tym względzie. Jednocześnie jednak wydaje mi się, że postmodernizm glebę ową wyjaławia, mówiąc przesadnie: wysysając z niej wszelkie możliwe i „niemożliwe” sensy. Niczego tu nie zmyślam. Wystarczy zajrzeć w tym względzie do prac Edwarda Saida.